

Kamienne kręgi

Opowieść z domu dla obłąkanych

Patrzyłem z pewnym uczuciem przez okno, zaopatrzone w solidną kratę, leżąc na jednym z trzech łózek. Za okratowanym dawno temu zapewne oknem słychać było raz po raz kursujące tam i z powrotem karetki pogotowia ratunkowego. Mijały sekundy, za oknem z nieba lała się stal, szumiały lekko wiekowe drzewa, których nie potrafiłem rozróżnić. Było koło 16-tej, a to znaczyło, że niedługo podadzą nam kolację. Zwykle jedna posmarowana tanim dżemem kanapka, niedoparzona w ogóle herbata i czasem małe, chrupiące ciastko, jakiś krakers albo herbatniki. Na zewnątrz było martwe morze, a pośrodku niego staliśmy my wszyscy, tęskniący do szczęścia, którego nam poskąpiono i to już na starcie życia.

Bo my tutaj zamknięci na oddziale obserwacyjnym, nie mieliśmy pomysłu na dalsze życie, ani dość siły, aby żyć samodzielnie. Patrząc przez okno, marzyłem o wolności. Kiedyś ją zwrócą – póki co siedzimy. Nikt tu nikomu nie przeszkadza, stanowimy pewnego rodzaju społeczny eksperyment, czyli budujemy naszą własną, niezależną od zewnętrznych spraw, społeczność.

Mogłaby stanowić nawet wzór życia w społeczeństwie, gdzie każdy każdemu wilkiem. U nas nie, u nas nie ma nienawiści, dość się już jej nawdychaliśmy w świecie, zanim trafiliśmy wszyscy tutaj.

Jeszcze pamiętam te chwile, kiedy mnie tu przywieziono, ambulans wprost spod kościoła ojców dominikanów. Mój samochód, którym sam przemierzyłem pół kraju, jadąc z południa na północ, został nieprawdopodobnie zaparkowany po przeciwnej stronie świątyni, koło bankomatu pekao. Mimo prób nie wypłacał gotówki, więc dalsza jazda, a celem było morze, tu się musiała zakończyć. Na całą drogę, przemierzaną starym, czerwonym maluchem, wzięłem sto złotych, co w tamtych czasach nie było o wiele więcej niż dziś. Ojciec esemesował, że pieniądze wysłał, a bankomat dalej swoje – „za mało środków na koncie”. Jak mnie wkurzają te wszystkie komendy, którym jakaś pani użycia specjalnie ostrego głosu. Trochę jak na dworcu kolejowym, taka pociągowa subkultura.

Nie wiedziałem, siedząc na izbie przyjęć, oddawszy wszystkie ostre rzeczy osobiste, nawet karty bankomatowe, ile czasu przyjdzie mi tu spędzić. I jak go zorganizuję, bo tutaj panowały inne prawa czasu niż wśród żywych w mieście. Czas zwalniał, niemal do zera, był pusty, bo na oddziale prócz porannej gimnastyki i ping-ponga, nie proponowano żadnych zajęć. Kiedy byłem w innym szpitalu, zajęć było multum, ale to osobny temat. Póki co sytuacja wyglądała tak: postanowiwszy pojechać do stryja prawie nad morze, źle obliczyłem finanse, skąd mogłem wiedzieć, że zmuszony będę przenocować w jakimś motelu-zajeździe, który

nie wiem, czemu budził skojarzenia z czerwoną oberżą. Nocleg otrzymałem, nawet pokój dwuosobowy. Zamiast spać oglądałem telewizję, która przesyłała mi komunikaty i informacje, przygotowane specjalnie dla mnie. Spikerzy zwracali się tylko do mnie, nie dając poznać, że tak jest, ale ja byłem bardziej podejrzliwy. Kiedy w końcu zasnąłem, nadszedł wczesny poranek 19 czerwca roku, kiedy polowano na biznesmenów, a ja poczułem nagle, że muszę wyjechać natychmiast, bo miejsce było bardzo podejrzane, pani z recepcji dziwnie się uśmiechała, jakby w jakimś zastygłym grymasie, jakby chciała mi albo komuś innemu coś przekazać, jakąś dalszą wskazówkę.

Niewiele myśląc, postanowiłem wyjść przez okno, bo pokój był na parterze i wyjechać. No, tak, ale co z dowodem osobistym, który został na recepcji?

Mniejsza z tym, prześlą mi pocztą. Co też później się stało. Spakowałem niewielki bagaż i uciekłem na parking, wsiadłszy do malucha, odpaliłem i ruszyłem na Poznań. Myślałem, że pieniądze się jakoś cudem znajdą, że zatankuję i ruszę dalej na północ, do jednego z większych miast, gdzie działał stryj-humanista. Jego biblioteka przyprawiała o palpitację, ilekroć go odwiedziałem. Humanistą również byłem ja, ale daleko w tyle za sympatycznym, towarzyskim stryjem.

Tak więc podróż skończyła się wraz z paleniem, zanim osiągnąłem cel. Zajechałem pod klasztor, gdzie znajomy, znany w Polsce ojciec, kazał posługującej dziewczynie zrobić mi śniadanie. Kiedy jadłem, zgasła elektryczność. Dziewczyna spytała mnie, czy znam się na korkach, czyli bezpiecznikach. Niestety, nie znałem się i ostrzegłem, żeby uważała za przykładem, na co dziwnie się uśmiechnęła. Po śniadaniu wyszedłem za furtę i stanąłem na chodniku. Jeszcze ostatnia próba bankomatu i nic. Wtedy dopiero olśniła mnie sytuacja, w jakiej się znalazłem – sam w obcym, nieznanym mieście. Potęgował się strach, wlewał do żył i płynął tętnicami, powodując kołatanie i skoki ciśnienia. Wtedy wyjąłem telefon i wykręciłem numer 112. Po chwili zaczęła się rozmowa.

Przyjechali w kilka minut. Ambulans przystanął, otwarto boczne drzwi, wszedłem do środka, a kierowca ruszył ostro w prawo, mijając klasztor i kierował się obok banku pekao ulicą w górę, aż do Świętego Marcina. Po zmierzeniu parametrów życiowych, zawieziono mnie na Szpitalną, gdzie istniał szpital dla nerwowo i psychicznie chorych. Na izbę wypytano niemal o wszystko, jaka data, gdzie jesteśmy, skąd się tu wzięłem, skoro pochodzę z Krakowa i czy na coś się lecę. Oczywiście, że wiedziałem wszystko, powiedziałem też, że od kilku lat lekarze próbują mnie „wyleczyć”, wypisując recepty na pigułki, które rzeczywiście trochę pomagają. Nie jestem kimś, kto neguje wartość leczenia duszy w ramach psychiatrii.

Przeciwnie – wielu ludziom pomoc może już tylko chemia, bo sprawy zaszły za daleko i sami stamtąd, skąd ja wracam, powrócić nie mogą. Zawieszeni między tym, a „tamtym” światem, jakoś jednak sobie radzą, choć raczej spośród nich trudno byłoby wyłonić noblistę.

Dni i noce zlewały się w jedno. Przestrzeń życiowa skurczona do korytarza, sali jadalnej, palarni i sal chorych. Całymi dniami pacjenci włączają się bez sensu i bez celu po całym oddziale, a pielęgniarki izolują się, siedząc w dyżurce przed telewizorem. Czasem pacjent poprosi o wyjście, jeśli ma do nich prawo, czasem ktoś przyjdzie w odwiedzinach. Główne zdarzenia codzienne to leki o regularnej porze, gimnastyka, spacer i posiłki. Część pacjentów z sanatoryjnego (łżejszy niż obserwacyjny) wychodzi na ogród, inni na tarasie palą papierosy, a wysoko w górze na pobliską Ławicę zniżają lot kolejne samoloty, a inne wznoszą się w przestrzeń nad naszymi rozpalonymi głowami, które sądzą, że koniec świata jest już zglepany.

Co chwila szedłem do palarni, umierając z nudów. Po przejściu psychozy, kiedy zdawało mi się, że dostąpiłem olśnienia, a nawet oświecenia, przypłatała się melancholia. Tak, jak ci, których przywrócono do życia, mieli to za złe ratującym ich lekarzom, tak i ja byłem zły, że za pomocą końskich dawek leków przeciwpsychotycznych, zmuszono mnie, aby zniżył lot i wylądował, choćby to miało być twarde lądowanie.

Mijały godziny, a ja nie widziałem poprawy. Otwartą książkę zamykałem po pierwszych kilku stronach – psychiatrzy nazywają to „dekonzekcją”, albo „rozkojarzeniem”, a w skrajnych przypadkach zupełną dezorganizacją działania. Psychoterapii nie było wcale, za to czasem przybywał kapłan, spowiadał, kto chciał, rozdawał komunię świętą i błogosławił nam na koniec.

Mury, które mijałem, były jak więzienie, oczywiście z lepszą perspektywą. Tu można przecież wypisać się na własne żądanie. Zrobiłem tak po miesiącu pobytu tutaj, gdzie panuje przypadek, chaos i stałe sytuacje graniczne, spośród których temat „winy-kary” jest chyba najbardziej zauważalny. Kupiłem sobie w kiosku, wyszedłszy niepostrzeżenie i nielegalnie poza bramę wjazdową, zwyczajny brulion, wróciłem na oddział, wzięłem długopis od stewardesy z dyżurki, zamknąłem się w sali nr 43, a potem spróbowałem poprzelawać na papier emocje, jakie miałem zapiekłe od lat. Nie szło mi to, co odkryłem po pierwszym przeczytaniu fragmentu.

Cóż, wszystko przede mną – pomyślało mi się. – Nie każdy od razu musi być Dostojewskim – dodałem pod nosem. Jednak nie mogłem pisać – ręka, źle ustawiona w szkole, łapała „kurcz pisarski”, co uniemożliwiało rozwój tych talentów. Laptopa, tego dziś nieodłącznego elementu codzienności wtedy jeszcze nie posiadałem.

Potem, gdy ojciec przyjechał, wiedziałem, że muszę wrócić do życia za wszelką cenę. W swoje urodziny wsiał w pociąg i przyjechał, wcześniej zakupiwszy bukiet róż dla lekarki, która przez miesiąc postawiła mnie na nogi. Nie widziałem już procesji na mieście, nie mogłem porozumiewać się już telepatycznie, tylko normalnie, słowami, straciłem „dar” uzdrawiania i inne nadzwyczajne zdolności. Płaciłem za nie za drogo. Oddawszy się w ręce lekarzy, może nie popełniłem dużego błędu. Przecież życie polega na ich popełnianiu. W południe 18 lipca opuściliśmy z ojcem Poznań, gdzie się rozegrało wszystko. Ale już na horyzoncie...

Rafał Sulikowski